

ISSN 1898-5599

Wrocław - Dolny Śląsk

egzemplarz bezpłatny

ludzka sprawa

niezwykły magazyn dla zwykłych ludzi

Nr 7 (52) 2011



Piotr Borkowski

Kiedy zjawia się mój Anioł Stróż



www.nasza.ludzkasprawa.pl

ludzka sprawa - nasza sprawa

warsztaty edukacyjno-terapeutyczne
dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej umysłowo

Projekt realizowany wspólnie przez Stowarzyszenie ŚWIAT NADZIEI i magazyn „Ludzka Sprawa”

Pisanie. Opowiadanie

Jeden szablon, tyle opowiadań, ilu uczestników warsztatów. Wszystkie bardzo ciekawe.

Nie uwierzycie, to nie był sen...

Janusz: spotkałem koleżankę, poszedłem do kina i byłem na dobrym filmie, zobaczyłem dobrego ducha...

Małgosia: zobaczyłam ducha, przeraziłam się. Ale to był tylko sen...

Elwira: jak spotkałam kolegę. Przedstawił mi się, następnie poszliśmy na spacer. Widzieliśmy zabytki miasta. Wrocław mi podoba się. Dzięki niemu lepiej orientuję się w mieście. Nauczyłam się wiele rzeczy od niego. Zaczęłam też dbać o siebie.

Piotr: że Piotr zaczął Elwirę...

Wanda: spotkałam chłopaka z mojego snu...

Mateusz: spotkałem kobietę i pojechałem do domu. Zobaczyłem obraz kwiatów, jak blask słońca...

Agnieszka: ja mam dziecko, nie uwierzycie. Jestem w ciąży i ja mam męża...

W pewnej chwili...

Janusz: dobry duch sprawił, że spotkałem dobrą dziewczynę, poszedłem z nią na spacer i tak było cudownie...

Małgosia: zastanawiam się, był wypadek samochodowy i może ten duch chciał mnie ostrzec? Przez ducha szłam wolno i nie wpadłam, ale wypadek widziałam...

Elwira: lepiej go poznałam. W pewnej chwili zmienił się na gorsze. Przekreślił wszystko to, co zrobiłam dla niego. Zniszczył moją osobowość swoją fantazją. Cierpię przez niego bardzo. Chciałabym być znów sobą. Mieć przyjaciół i swobodę...

Piotr: przestał...

Wanda: dostałam prezent miłosny. Jabłko z napisem Kocham Cię!...

Mateusz: zobaczyłem swoją tęsknotę w fotografii. W świetle obrazu barw...

Agnieszka: go kocham. Widzę jak pracuje i było tak: dwie obrączki...

To nie była zwyczajna postać...

Janusz: tylko ja ją sobie wymyśliłem...

Małgosia: ale Anioł Stróż...

Elwira: ...

Piotr: tylko Elwira...

Wanda: tylko aktor, który gra rolę w teatrze...

Mateusz: człowieka, który fotografował tęsknotę swych marzeń i odcień zachodu słońca...

Agnieszka: bo jego kocham...

Pozostał tylko żal...

Janusz: że ducha nie ma i nie będzie cudów...

Małgosia: że nie mogę mu podziękować...

Elwira: na zawsze. Myślałam, że będzie kolegą, moim przyjacielem. Myślałam, że możemy uczyć się od siebie...

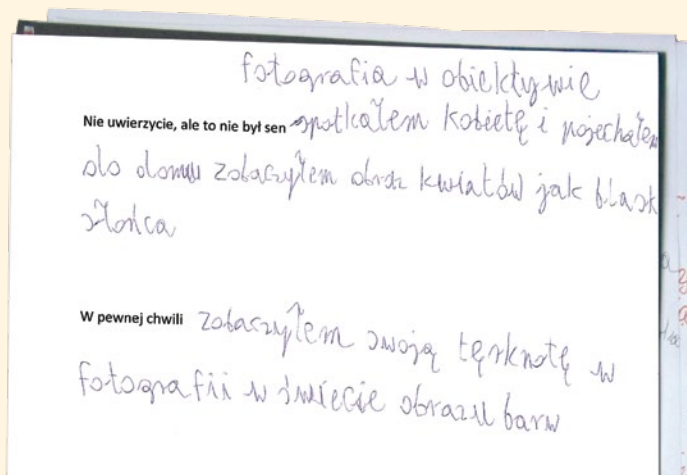
Piotr: że to tak krótko trwało...

Wanda: bo jestem smutna, że go nie ma...

Mateusz: wrażenie jest jako smutek w fotografii.

Agnieszka: że nie ma muzyki i firyka szal...

Zakończenia opowiadań na naszej stronie:
www.nasza.ludzkasprawa.pl



Gazeta dofinansowana
przez Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
oraz Samorząd Województwa Dolnośląskiego

Drodzy Czytelnicy,

oddajemy w Wasze ręce kolejną „Ludzką Sprawę”. Jest to ostatni numer finansowany przez FIO i Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego. Zakończył się bowiem projekt Ludzka Sprawa-Nasza Sprawa. Mamy nadzieję, że rok 2012 przyniesie i Państwu, i nam wiele dobrego. Życzymy radości, zdrowia i tego, by w Nowym Roku nie zabrakło czasu na rzeczy ważne. Zachęcamy również do czytania i „Ludzkiej Sprawy”, i książek. W tym numerze polecamy Listy Marii Curie i córek, spacer po Wrocławiu, podczas którego można poznać dawnych księgozbiórów czar. Proponujemy nowy cykl Historie Ocalone, który powstaje we współpracy z Ośrodkiem Karta. Ciekawa jest też rozmowa miesiąca, w której Piotr Borkowski opowiada o tym, kiedy zjawia się jego Anioł Stróż. Publikujemy kolejny tekst o babci, zastanawiając się, czy dziadkom należy współczuć, czy raczej zazdrościć oraz informujemy o zmianach w przyznawaniu becikowego. Zapraszamy na nasze strony: www.ludzkasprawa.pl i www.nasza.ludzkasprawa.pl

Redakcja

Redaktor naczelny:
Anna Morawiecka

Redaguje zespół

Projekt okładki: anief

Korekta: Anna Molska

Skład: Jacek Budziszewski

Wydawca:

Stowarzyszenie NASZE MIASTO WROCLAW

Adres do korespondencji:

50-540 Wrocław, ul. Orzechowa 42/14

e-mail: redakcja@ludzkasprawa.pl

www.ludzkasprawa.pl

Dystrybucja i reklama: Janusz Ogrodnik

e-mail: j.ogrodnik@ludzkasprawa.pl

Na okładce: Piotr Borkowski

Fot. Anna Smarzyńska

W numerze:

4 Kiedy zjawia się mój Anioł Stróż

Dzieje się lepiej – mówi Piotr Borkowski

6 Dobroć rodzi dobroć

Maria Grzegorzewska

8 Historie ocalone

Od zapomnienia

9 Matka, żona, dziennikarka

Alkoholiczka

10 W przypadku upadku

Pomóż sobie, pomóż innym...

12 Niebezpieczny e-papieros?

Oto jest pytanie

13 Babcia

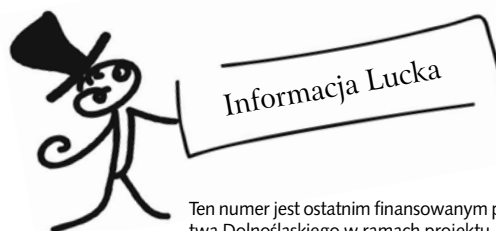
Współczuć czy zazdrościć?

14 Listy

Marii Curie i córki

15 Spacer po Wrocławiu

Dawnych księgozbiórów czar



Ten numer jest ostatnim finansowanym przez FIO i Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego w ramach projektu „Ludzka Sprawa - Nasza Sprawa”. Niemniej jednak egzemplarze naszej gazety można znaleźć we Wrocławiu między innymi: w Urzędzie Marszałkowskim (Wybrzeże Juliusza Słowackiego 12-14), Wydziale Zdrowia Urzędu Miejskiego (ul. G. Zapolskiej 2/4), w MOPS (ul. Strzegomska 6) i w Urzędzie Pracy (ul. Powstańców Śląskich 98), Centrum Informacji Kulturalnej (Rynek-Ratusz 24), Centrum Informacji i Rozwoju Społecznego (pl. Dominikański 6). Ponadto jesteśmy w publicznych i niepublicznych placówkach służby zdrowia. Na Dolnym Śląsku o numer gazety pytaj w urzędach powiatowych i w wybranych stowarzyszeniach zajmujących się problemami społecznymi. Aktualne oraz archiwalne numery „Ludzkiej Sprawy” dostępne są na naszej stronie internetowej www.ludzkasprawa.pl

WAŻNE

Informacje dotyczące unijnego projektu „Ludzka Sprawa - Nasza Sprawa – warsztaty edukacyjno terapeutyczne dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej umysłowo” można znaleźć na stronie www.nasza.ludzkasprawa.pl Nasz adres mailowy: redakcja@ludzkasprawa.pl, adres projektu FIO projektFIO@ludzkasprawa.pl, adres do korespondencji: 50-540 Wrocław, ul. Orzechowa 42/14.

Kiedy zjawia się mój Anioł Stróż

W rozmowie z Piotrem Borkowskim trudne pytania zadaje Anna Morawiecka

Anna Morawiecka: Jakiem jesteś człowiekiem?

Piotr Borkowski: Trudne pytanie. Najtrudniej jest ocenić samego siebie. Lepiej, żeby to robili inni. Powiem tak: staram się być przyzwoitym człowiekiem.

Co to znaczy?

Niedawno osoba, która nie zna bardzo dobrze polskiego, zadała mi pytanie, co znaczy słowo *pryzwoity*? *Pryzwoity*, czyli szanujący prawo, odnoszący się zgodnie z dekalogiem do drugiego człowieka, pracujący nad sobą, wyciągający wnioski z błędów innych, żeby samemu ich nie popełnić...

Różnie o Tobie mówią, może dlatego, że od dziesięciu lat kierujesz Ośrodkiem Kultury i Sztuki. Mówią, że nie zawsze jesteś przyzwoity...

Tego nie wiem, trzeba byłoby podać jakieś przykłady. Oczywiście, jak to w życiu bywa, zawsze człowiek godzi się na jakieś ustępstwa... Myślę, że jestem człowiekiem kompromisu, dla mnie jest ważne załatwienie sprawy, a nie to, czy mam rację.

To ciekawe spojrzenie, ale czy na każdy kompromis jesteś w stanie pójść?

Nie, są granice, których nie przekraczam, powiedziałbym, że jest to granica przyzwoitości połączona z bezpieczeństwem własnym i rodziny. Chociaż, jak powiedziałaś, z racji pełnionej funkcji będę pewno różnie postrzegany. Będę jednak zadowolony, jeśli liczba wrogów nie będzie większa niż liczba przyjaciół. Na razie, na szczęście, jak sądzę, tę równowagę udaje mi się utrzymać.

Czy zdarzało się, że sam przed sobą musiałeś się przyznać, że taką granicę przekroczyłeś?

Staram się być samokrytyczny. Zawsze, kiedy w grę wchodzi dobro drugiego człowieka, jeśli komuś dzieje się krzywda, a ja w tym uczestniczę, to mam wątpliwości, czy postąpiłem słusznie. Oczywiście zawsze mogę sobie wytłumaczyć, usprawiedliwić się, dlaczego tak się

dzieje, ale nie jest to dla mnie komfortowa sytuacja. I zwykle mija jakiś czas, zanim się z tym pogodzę. To nie muszą oczywiście być jakieś wielkie sprawy, ale nawet te proste, choćby niezadowolenie drugiego człowieka, kiedy nie mogę mu pomóc, powoduje, że nie czuję się zbyt dobrze. Zawsze jednak staram się sprawy wyjaśniać. Oczywiście zdarzają się i takie sytuacje, że ktoś obrażony obraca się plecami i wychodzi. Trudno, trzeba to przyjąć. Myślę jednak, że nie ma niczego takiego, co nie dawałoby mi spać po nocach. Czasem mam poczucie, że mogłem podjąć inną decyzję, bardziej się postarać. Ale w życiu jest tak, że dokonujesz wyborów teraz, a karawana idzie dalej...

Nie można powiedzieć, żebyś miał łatwe życie. Sam wychowywałeś dwóch synów...

Tak się złożyło. Żona zmarła, kiedy jeden miał dwanaście, a drugi szesnaście lat. Jeśli umiera ktoś w młodym wieku i jest to osoba bliska, to zawsze nam się wydaje, że mogliśmy coś jeszcze dla niej zrobić. To właśnie w takich sytuacjach człowiek miewa poczucie winy, wrażenie że czegoś nie zrobił, coś zaniedbał. Ale to chyba bardzo ludzkie. W sytuacjach nieodwracalnych nie możemy już niczego zmienić, zrobić inaczej ani naprawić. Trudno jednak przez całe życie czynić sobie wyrzuty. Chociaż jak wracamy do tych wydarzeń, to zawsze powraca myśl, że były momenty, w których mogliśmy się uśmiechnąć, zamiast denerwować. Tak bardzo czujemy wtedy wagę życia i bezsensowność niektórych własnych zachowań. Oczywiście nie ja jeden jestem w takiej sytuacji, ale trzeba pamiętać, że żyć trzeba dalej i trzeba sobie radzić. Tylko dopóty, dopóki żyjemy jesteśmy w stanie jeszcze coś zmienić, naprawić, także samego siebie. Musiałem się nauczyć gotować. Przychodziło mi to jednak z trudem. Nie cierpię tego, ale nie było innego wyjścia. Dużo pomogła mi moja mama. Musiałem w tej naszej

mniejszej rodzinie zorganizować życie na nowo. Myślę, że mam to już za sobą. Starszy syn się usamodzielniał, młodszy jest po studiach, zaczyna pracę. Czyli ta rodzicielska odpowiedzialność powoli ze mnie spada. Odpowiedzialność za wychowanie, za wprowadzenie dzieci w niełatwy przecież świat ludzi dorosłych.

Całkiem niezłe Ci się to udało. Tym bardziej, że kiedy Twoja żona umarła, chłopcy byli w wieku dość trudnym.

Nie ma łatwego wieku na śmierć matki. Myślę, że synowie byli już dobrze wychowani przez mamę (do Jej śmierci, to głównie ja zajmowałem się zdobywaniem pieniędzy, a żona zajmowała się dziećmi), że w okresie kiedy powinni dostać tę dawkę matczynej ciepła, zaznać miłości w pełnej rodzinie, Ona była z nimi. To mi bardzo później pomogło. Bardzo się wtedy bałem. Czułem tę ogromną odpowiedzialność i nie wiedziałem, czy sobie poradzę. Z jednej strony bunt przeciw śmierci, z drugiej ogromny ból – mój, chłopców i nasz wspólny. Oczywiście ten ich – czułem na sobie. Wyobrażając sobie, jak chłopcy muszą się czuć (choć trudno chyba dorosłemu człowiekowi wyobrazić sobie, co czują dzieci po śmierci matki), starałem się najbardziej jak mogłem. Chyba również dlatego, że Anioł Stróż nad nami czuwał, oni nie popadli w żadne nałogi, złe towarzystwo. Dzisiaj, kiedy na nich patrzę, jestem szczęśliwy.

Nigdy Cię nie winili za śmierć matki?

Wiele razy rozmawialiśmy na ten temat dlatego, że miałem poczucie winy. Jeśli nawet, to nigdy mi tego nie powiedzieli ani nie okazali. Wracałem do tematu wielokrotnie, żeby wszystko, co się o tym da powiedzieć, co jest niejasne, wytłumaczyć, a w sytuacjach trudnych, stresowych, żeby rodzina była dla nich ostoją.

A sami się nie obwiniali? Pytam, choć nie wiem, czy zechcesz powiedzieć, jak zmarła Twoja żona. Nie musisz mówić.

Piotr Borkowski – urodzony na Dolnym Śląsku. Szkołę podstawową i średnią skończył we Wrocławiu. Tu także studiował na Uniwersytecie Przyrodniczym. Ukończył również Dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim oraz Marketing i Zarządzanie na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Życie zawodowe rozpoczął jako nauczyciel w szkole. Pracował w redakcji miesięcznika ODRA na różnych stanowiskach, obecnie zastępcy redaktora naczelnego. Od 2002 roku, po wygranych konkursie, kieruje Ośrodkiem Kultury i Sztuki we Wrocławiu.



Cierpiała na depresję i niespodziewanie odeszła na zawsze. Myślę, że niezależnie od tego, czy ma się lat dwanaście, siedemdziesiąt, czy czterdzieści jak ja wtedy miałem, to zawsze w człowieku w takiej sytuacji rodzi się pytanie, czy nie mogłem temu zapobiec. Pewnie oni sami się nie oskarżali, ale na pewno zastanawiali się też, czy mogli coś zrobić, żeby do tego nie doszło.

Jak wasze rozmowy na ten temat wyglądały?

Nagle zawalił się nam świat. Jednak od początku się starałem, żeby jak najmniej zawalił się na nich. Było to oczywiście iluzoryczne, ale mówiłem, że jeśli już tak jest, to ja muszę na siebie wziąć najwięcej, a ich pomału przygotowywać do nowych realiów. Nie powiedziałem, że teraz to ty musisz to zrobić, a ty to. Siadaliśmy razem do stołu, a ja mówiłem, że muszę zrobić to a to, a ich pytałem, czy mi pomogą, bo trzeba przecież dalej żyć. I tak zacząłem chłopców angażować do wszystkich prac w domu. Potem to codzienne życie jakoś się nam poukladało. Ja gotowałem, a młodszy syn wyspecjalizował się w pieczeniu ciast. Starszy w sprzątaniu, wiele rzeczy robiliśmy wspólnie... Starałem się też stosować zasadę: nie rozmawiaj z dziećmi, kiedy ty masz czas, tylko miej czas dla dzieci, i kiedy one chcą z Tobą rozmawiać.

Skąd się wzięła depresja twojej żony?

...

Tak po prostu, czy coś szczególnego się wydarzyło? Czy widziałeś jakieś sygnały tego jej stanu?

Jak patrzę na to z perspektywy, to wydaje mi się, że mogłem coś widzieć. Była osobą bardzo wrażliwą, grała pięknie na pianinie, miała w sobie taką delikatność...

Ale myślałem, że normalny dom, dzieci, ciepło rodzinne, miłość to coś, czego pragnęła, z czego była szczęśliwa... Myślę, że to coś musiało tkwić w Niej. Na takie rzeczy, jak sądzę, ma wpływ wiele czynników, m.in. to jak żyjemy jako dzieci, jakieś traumatyczne wydarzenia w życiu, które nas spotykają. Była w trakcie leczenia, a ja nigdy nie dostanę odpowiedzi na to pytanie. Sam nie wiem dlaczego.

Zostawiła list?

Nie. Była chora. Gdyby była zdrowa, nigdy by tego nie zrobiła. Ktoś, kto zetknął się w życiu z depresją wie, że są lepsze i gorsze okresy tej choroby. To był taki gorszy okres.

Zawsze trudniej tym, którzy zostali. Choć mówi się, że czas leczy rany.

Czas ran nie leczy. Czas powoduje tylko, że mniej pamiętamy i wtedy mniej boli.

Nie jesteś jednak sam, udało Ci się ułożyć sobie życie, wychować dzieci...

Spotkałem kogoś, kto mnie ujął i... To było już prawie pięć lat po śmierci żony. Tuż po tragedii i długo jeszcze potem myślałem, że już na zawsze zostanie sam. I tak chciałem. Wtedy uważałem, że jest tylko jedna miłość. Taka na całe życie. Oczywiście to nie jest tak, że przy obecnej mojej kobiecie zapomniałem o tym, co mnie spotkało, czy nie pamiętam o tych pięknych latach mojego życia, o matce moich dzieci... To we mnie zostanie na zawsze. Wydarzyło się jednak coś, co powiedziało mi, że warto żyć dalej. Uświadomiłem sobie wtedy, że życie jest jedno i jeśli los stawia na naszej drodze kogoś, kogo jesteśmy w stanie pokochać, jeszcze komuś dać coś z siebie dobrego, to myślę, że nie należy z tego rezygnować.

Zastanawiam się tylko, czy ona nie boi się, że będziesz ją porównywał do zmarłej żony, że masz jej obraz na podobieństwo tamtej? Myślę, że To dla Was bardzo trudne, czy może się mylę?

Oczywiście masz trochę racji. Życie nie składa się tylko z samych dobrych stron, a takie porównania i strach przed nimi zawsze (nawet podświadomie) wychodzą z człowieka, szczególnie w sytuacjach stresowych. Zdajemy sobie jednak sprawę, że nie ma to najmniejszego sensu. Każdy człowiek jest inny. Jesteśmy złożeni z dwóch części. Każdy z nas ma w sobie tyle dobrego i tyle złego, ile ma. Człowiek powinien dążyć, by więcej było w nim dobra. Powinniśmy się o to starać. Jestem też przekonany, że kiedy na swojej drodze spotykamy drugiego człowieka i decydujemy się z nim żyć, to najczęściej jest tak, że jest on nam bliski. Chyba podświadomie mamy jakiś wzorzec, na podstawie którego wybieramy ludzi, z którymi chcemy być. Nie jestem psychologiem i nie chcę szukać tu żadnej analogii, ale wydaje mi się, że coś w tym jest. Jestem przekonany, że gdybym postawił obok siebie obie moje ukochane kobiety, to mimo że obie tak różne, są w jakimś sensie do siebie podobne. Ale z moją nową życiową partnerką nie jestem dlatego, żeby mi zastąpiła zmarłą żonę, tylko dlatego, że ją pokochałem.

A Twoi synowie? Akceptują inną kobietę przy Twoim boku?

Tak. Są dorośli. Wiele na ten temat rozmawialiśmy. Wiedzą też, że nigdy nie miałem pomysłu, aby zastąpiła ich matkę.

cd. na s. 6

Dobroć rodzi dobroć: Maria Grzegorzewska

Kiedy piszę te słowa, w mediach odbywa się dyskusja nad nowym modelem egzaminów kończących etapy edukacyjne: po szóstej klasie, po gimnazjum, po szkole średniej. Przyszły kształt tych ważnych wydarzeń w życiu ucznia, rodzica i nauczyciela jest niewątpliwie interesujący. Jednakże nie mogę się pozbyć podejrzenia, że oświata niekoniecznie jest tam, gdzie chcieliśmy, żeby była. Niby uczucie znane każdemu: że nie jest tam, gdzie chciał być. Ale kiedy to uczucie dzieli ze mną całe rzesze nauczycieli, rodziców i uczniów, może czas żeby coś o tym napisać.

Nie chodzi tu bynajmniej o kolejną reformę oświaty, zmianę programów nauczania, lektur albo podręczników – zjawiska, które dają się we znaki wszystkim „uczestnikom i użytkownikom oświaty”.

Chodzi raczej o pewną koncepcję myślenia o świecie i o człowieku. Tak, jak się rzeczy mają, niedługo wszyscy będziemy fachowcami od ... zdawania egzaminów z języka polskiego, angielskiego czy matematyki. Natomiast ani nauczyciele, ani rodzice nie będą wiedzieli, co zrobić, żeby uczniowie umieli przeczytać i zanalizować lekturę, kupić bilet na samolot za granicą, albo wyliczyć podatek.

Dość już ekspertów od zdawania egzaminów.

Może warto przypomnieć sobie sylwetkę „ekspertki od życia”, które zdała na piątkę i innym również umożliwiła to samo.

Mowa o Marii Grzegorzewskiej, patronce Dolnośląskiego Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego Nieświadomych we Wrocławiu.

Niezwykła patronka wrocławskiej szkoły dla niewidomych

Maria Grzegorzewska, jako młoda dziewczyna z dworku, początkowo wykazywała zainteresowanie naukami przyrodniczymi, które na przełomie wieku XIX i XX rzeczywiście przeżywały swój rozkwit. Nie była bogatą studentką, stołowała się w garkuchniach, pracowała przez cały okres studiów.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy młodej studentki, chorej na płuca, gdyby nie znajomość z profesorem Józefą Joteyko, założycielką Instytutu Pedagogicznego (czyli poświęconego nauce o dziecku) w Brukseli. Joteyko, profesor fizjologii i psychologii, umożliwiła Grzegorzewskiej wyjazd za granicę i wprowadziła ją w świat uczonych. Zainspirowała ją również do wielu tematów, które

cd. ze s. 5

Boisz się o swoich synów? Czy jesteś pewien ich siły? Tego, że nie odziedziczyli po mamie skłonności do depresji, autodestrukcji?

Na szczęście żadnego realnego zagrożenia nie widziałem. Natomiast strach jest zawsze. Nie jest to jednak uczucie dominujące. Mówiłem już, że zawsze starałem się z nimi dużo rozmawiać, przekonując ich, że zawsze warto żyć.

Masz z nimi dobry kontakt?

Mam nadzieję. Nie przychodzą do mnie tylko po pieniądze (*śmiech*), więc chyba nie jest źle.

A Ty sam? Nigdy nie miałeś dość?

Wielokrotnie. Zdarzało się, że dochodziłem do ściany i myślałem żeby może tak zostawić to wszystko... Na szczęście jednak, zawsze kiedy stawałem przed taką barierą, z którą ciężko było mi sobie poradzić, zjawiał się mój Anioł Stróż.

Dobrze mieć takiego Anioła. Myślę sobie, że bez nich mielibyśmy małe szanse na przetrwanie...

Chyba masz rację. Jak człowiek jest młody, to wydaje mu się, że wszystko od niego zależy. Potem już wie, że to nieprawda. Są rzeczy, które od nas nie zależą. Im szybciej do tego dojdziemy, tym lepiej dla nas. Nie wiem, czy jest to jakaś reguła, ale zauważyłem (dotyczy to zarówno życia prywatnego, jak i zawodowego), że kiedy mam problem i koniecznie chcę go rozwiązać, rozważam różne *za* i *przeciw*, a to nie idzie, to zostawiam to i zawsze pojawia się jakaś *Siła Wyższa* i sprawia, że jest dobrze, często lepiej niż sam to zaplanowałem, choć inaczej...

Co jest dla ciebie ważne zawodowo i prywatnie? O czym marzysz?

Nie mam wielkich marzeń związanych z życiem zawodowym. To, co robię sprawia mi satysfakcję, choć oczywiście nie jest idealne... Przed śmiercią żony miałem spokojną pracę w redakcji i nie myślałem o niczym innym. Potem wszystko się zmieniło. Chciałem coś zmienić w swoim życiu zawodowym,

także z konieczności. Wziąłem udział w konkursie na dyrektora OKiS-u i za drugim podejściem wygrałem. Otworzyły się wówczas przede mną różne możliwości, pole do własnego rozwoju. Wcześniej o tym nie myślałem. Zmieniły się również finanse, co nie było bez znaczenia przy dwójce dorastających chłopaków. Jeśli chodzi o marzenia, hm... oczywiście, trzeba je mieć. Takim pierwszym były dzieci. Żeby były zadbane, ubrane, miały co jeść, mieszkały w normalnych warunkach, żeby się wykształciły i wyrosły na przyzwoitych ludzi. I najważniejsze, aby te lata, które spędziliśmy razem, dały im siłę, aby wejść w dorosłe życie. A teraz, marzę o tym, aby jak w piosence: *leżeć pod gruszą na dowolnie wybranym boku i mieć to, co na świecie najświętsze, Święty spokój...* A poważnie: marzę o domku w górach, który razem moją ukochaną próbujemy wybudować, aby w nim zamieszkać, być zdrowym i... długo żyć.

„Miłość jest dźwignią życia, jakby największym impulsem natury ludzkiej do harmonii, do ładu, do nawiązania łączności między ludźmi, do życzliwej względem nich postawy. Pedagogikę specjalną charakteryzuje specjalny cel – rewalidacja społeczna dzieci upośledzonych, chorych, niedostosowanych społecznie lub w inny sposób odchylonych od normy.”

Maria Grzegorzewska
(1888 – 1967)



staną się obecne w humanistycznej myśli Grzegorzewskiej przez długie lata, jak na przykład idea zbudowania instytutu nauk o człowieku. Jedna mądra kobieta pomogła drugiej, młodej, zdolnej i spragnionej wiedzy.

Grzegorzewska wyjechała razem z Joteyko do Paryża i przebywała tam podczas pierwszej wojny światowej, studiując na Sorbonie. Zajmowały ją wtedy estetyka, piękno i sztuka. W programie studiów była jednak wizyta w szpitalu dla umysłowo upośledzonych Bicetre. I to właśnie wtedy zdarzyło się coś, co można porównać chyba ze zdarzeniem w Damaszku, kiedy to świętemu Piotrowi spadły łuski z oczu pod wpływem napomnienia Chrystusa. Widok tych nieszczęśliwych ludzi tak wstrząsnął młodą jeszcze kobietą, że od tej chwili postanowiła zmienić kierunek swojej drogi życiowej i zając się najpierw upośledzonymi umysłowo, a potem wszystkimi potrzebującymi pomocy: niewidomymi, głuchymi, chorymi przewlekłe, upośledzonymi i „zagrożonymi moralnie” (tak wówczas określano osoby poddawane dzisiaj resocjalizacji).

Późniejsza praca Grzegorzewskiej, powołanie przede wszystkim Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie (po powrocie do kraju w 1919 roku), stworzenie periodyku „Szkoła Specjalna” oraz szeroka działalność popularyzatorska, konferencje i odczyty, którą można zupełnie spokojnie nazwać misją, są konsekwencjami tego bezkompromisowego wyboru.

Bezkompromisowość w kontaktach z władzami, które, podobnie jak dzisiaj, ignorują stan szkolnictwa, doprowadzi

ją do utraty funkcji dyrektorki instytutu, który sama stworzyła, który był pierwszym nowoczesnym miejscem zajmującym się problemami ludzi wyrzuconych poza nawias głównego nurtu szkolnictwa i który wśród swoich współpracowników miał samego Janusza Korczaka. Nie przeszkadza to Grzegorzewskiej organizować zjazdy nauczycieli, absolwentów, kursy letnie dla dzieci i powoływać nowe czasopisma pedagogiczne i psychologiczne.

Jak łatwo się domyślić, podczas drugiej wojny światowej nie zmienia się nastawienie nauczycielki do życia. Robi to, co robiła zawsze: kształci nauczycieli, pracuje z dziećmi upośledzonymi w szkole specjalnej, weryfikuje kandydatów do pracy konspiracyjnej, przysyłanych do niej przez Komendę Główną AK, pomaga prześladowanym Żydom. Jest tam, gdzie potrzeba pomocy.

Po wojnie wcale nie jest łatwiej. Trzeba zapewniać nowe władze, że pedagogika specjalna, proponowana przez Grzegorzewską, wcale nie jest nauką „burżuazyjną”, ale jest potrzebna nowemu, socjalistycznemu państwu.

W czym leży niezwykłość Marii Grzegorzewskiej?

Jak wielu pedagogów specjalnych, Grzegorzewska nie wybrała swojego powołania, można powiedzieć, że to ono wybrało ją. Poświęciła się mu z siłą, która pozwalała jej wykonywać pracę wielokrotnie przekraczającą siły pojedynczego człowieka. Praca była jedyną jej pasją – nie założyła rodziny, nie udzielała się na polach innych niż pedagogika specjalna. Była autorką fundamentalnego dzieła *Psychologia niewidomych*.

Kiedy zaczynała pracę jako pedagog specjalny, a było to przed wojną, polskie władze oświatowe przewidywały dla nauczycieli osób niepełnosprawnych i „zagrożonych moralnie” kurs... dziesięciodniowy.

Kiedy Grzegorzewska przechodziła na emeryturę, stała na czele nowoczesnego instytutu badawczego, który gromadził światłych wykładowców, miał silne związki z ośrodkami dla niepełnosprawnych w całym kraju (podtrzymywane przez starannie przemyślaną sieć praktyk) i najkrótszy kurs dla nauczycieli trwał... dwa lata.

Grzegorzewska miała silne przekonanie, że nauczyciel człowieka niepełnosprawnego nie powinien być słabiej wykształcony niż nauczyciel człowieka pełnosprawnego – a nawet, że powinien być wykształcony lepiej. Stworzyła ponadto „metodę ośrodków zainteresowań”, dziś nazywaną „metodą Marii Grzegorzewskiej” z powodzeniem stosowaną w nauczaniu osób niepełnosprawnych intelektualnie (mało rzeczy tak sensownych, jak ta broszurka, zdarzyło mi się czytać w mojej pracy).

Ambicją niniejszego tekstu nie była chęć nakreślenia choćby skromnego portretu wielkiej uczonej. Raczej była nią chęć pokazania, jak kształtowanie charakterów ludzkich na takiej skromnej bazie, jak przywoitość, patriotyzm (niemodne dziś słowo) i służba dobru powszechnemu może przynieść tak wyśmienite rezultaty. „Czucie i wiara silniej mówi do mnie / niż mędrca szkiełko i oko”. Maria Grzegorzewska najpewniej powiedziała, że nawet nie czucie i wiara. Tylko dobroć.

Historie ocalone

To tytuł nowego cyklu fotografii i tekstów, który będzie się ukazywał na łamach „Ludzkiej Sprawy”. Ekspozycję tworzą zdjęcia i teksty zawierające historie opowiedziane przez sfotografowane postaci. Autorem zdjęć jest Zorka Project – duet fotoreporterski tworzony przez Monikę Redzisz i Monikę Bereżecką. Wystawa została zainspirowana ogólnopolską akcją Pogotowia Archiwalnego, prowadzoną przez Ośrodek KARTA od 2007 roku. Celem programu jest ratowanie zagro-

żonych zbiorów o wartości historycznej. Zorka Project przedstawiają dziesięć osób, które przekazały swoje archiwalia w ramach Pogotowia. Poznajemy, często opowiedziane po raz pierwszy, ciekawe historie ludzi sportretowanych w tonacji czarno-białej, w scenerii lub pozie wydobywającej z każdej postaci charakterystyczną nutę. Często portretowi towarzyszy wizerunek bohatera sprzed lat, list dziecka pisany do ojca, który był w oflagu w czasie II wojny światowej,

mapa majątku pradziadka, papierośnica z obozu jenieckiego... Każdy z bohaterów *Historii ocalonych* wybrał ze swoich archiwaliów coś szczególnie cennego i osobistego, aby przekazać potomnym pamięć o swoich bliskich, o wydarzeniach historycznych i tych szczęśliwych, i tych tragicznych. Pomysłodawczynią projektu jest Helena Sienkiewicz z Ośrodka KARTA w Warszawie. Dzięki Niej również Czytelnicy „Ludzkiej Sprawy” mogą poznać *Historie Ocalone*...

Anna Kołakowska (ilustratorka)

Przekazała zdjęcia rodzinne z okresu przedwojennego i II wojny światowej



Och, Boże, moja matula kochana! A to moja Marysia! Tu jest nasz dom, a tu ja z Marysią w naszym ogrodzie na Bielanych... Ach, jak tam było cudnie. Miałymy w ogrodzie wannę i mogłyśmy się w niej kąpać.

Marysia na tle Giewontu. Moja małeńka... Bardzo żeśmy się kochały... Te zdjęcia robiła chyba mama; tata kupił jej aparat i narobiła wtedy mnóstwo zdjęć. Mama skończyła studia we Lwowie, bardzo dużo pracowała społecznie. Tata to był artysta, wszystko potrafił: grał, śpiewał, malował. Ja po ojcu odziedziczyłam talent. Marysia była bardziej

rzeczowa, jak mama, nie umiała tak bujać w obłokach, dlatego nie potrafiła się pogodzić z tym wszystkim...

Tu tata podlewa ogródek. A to jest chyba ostatnie zdjęcie całej rodziny.

Potem wybuchła wojna, miałam 15 lat. Nagle zmarła mama, nie wiadomo na co. Miała dopiero 42 lata. I to wtedy, kiedy ojciec pojechał przez zieloną granicę w odwiedziny do swoich rodziców. Wraca szczęśliwy, z zapasami prawdziwej kaszy, a mama już pochowana! Siostra popełniła samobójstwo, nie wytrzymała tego, co się wokół niej działo. Nie chcę o tym mówić, to zbyt przykre dla mnie...

Skończyłam Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Było bardzo ciężko. Po nocach, żeby zarobić, cerowałam skarpetki. Błąkałam się, nie miałam gdzie mieszkać. Komuniści zrobili, co mogli, aby pognębić mnie za udział w Powstaniu. E... nie ma o czym mówić...

W końcu udało mi się dostać do wydawnictwa „Nasza Księgarnia”. Zilustrowałam dwadzieścia parę książek dla dzieci, między innymi *Fizję Pończoszankę*. Zawsze byłam raczej satyryczką. Cóż ja

mogę więcej powiedzieć... Dzieciństwo miałam bardzo szczęśliwe, ale potem tak wszystko szło, że nie dał *Boh...*

Cieszę się, że macie te zdjęcia. Po mojej śmierci pewnie by to wyrzucili na śmietnik. Nie miałam komu ich przekazać, dzieci nie mam ani żadnej bliskiej rodziny... Mam dalekich krewnych, ale to byli komuniści, tacy, którzy żyli tak, jak żyć akurat wypadało. Z takimi ludźmi niechętnie się spotykałam, bo za komuchów miałam karę śmierci.

Dużo by mówić, koteńki moje. Nie lubię wspominać. Nie męczcie mnie już...



Matka, żona, dziennikarka. Alkoholiczka

Dopiero na terapii dowiedziałam się, że inaczej piją kobiety, a inaczej mężczyźni. My zamykamy się w domu, ukryte przed światem, rodziną, przyjaciółmi, oni piją publicznie, we własnych domach, knajpach albo parkach.

Też jestem dziennikarką. I też, tak jak Piotr w rozmowie z Anną Morawiecką („Ludzka Sprawa” *Dostałem szansę, staram się...*) przez długi czas ukrywałam prawdę o swoim uzależnieniu. Najpierw przed sobą, bo chociaż ciągnęło mnie do alkoholu, uważałam, że między piciem dla przyjemności a potrzebą picia, i to

już często bez przyjemności, jest spora różnica, i ta druga opcja wcale mnie nie dotyczy. Najpierw piłam dlatego, że piło całe moje otoczenie. Szczególnie ludzie z branży. Zawsze miałam mocną głowę, więc nie bałam się upokorzeń w stylu „zaleję pałę, a potem nie będę wiedziała, co, z kim i dlaczego”. Wydawało mi się,

że kontroluję pijaną rzeczywistość. Wydawało mi się, że dopóki mam dobry humor po wypiciu butelki wina, nic mi nie grozi. Z lekkim niepokojem patrzyłam tylko na swoje finanse, które, zwłaszcza pod koniec miesiąca, malały w zatrważającym tempie. Ale przecież zarabiałam, pracowałam. Pracowałam dużo i często. Bywały dni, że swoje dziecko widziałam wczesnym rankiem i dopiero późnym, bardzo późnym wieczorem. Jeździłam w teren, potem praca w redakcji, potem jakaś zakrapiana kawa w mieście albo dwie, trzy, cztery... Unikałam jednak alkoholizacji w lokalach. To nie było komfortowe, teoretycznie mogłam przecież przesadzić, a widok pijanej kobiety na ulicy zawsze bardzo mnie raził.

Picie stało się sposobem na walkę z nadmiarem pracy. Brałam na siebie zbyt wiele, to kwestia zbyt rozbuchanej ambicji oraz lęk przed utratą pracy. Bo przecież nie zwalnia się kogoś, kto zawsze jest dyspozycyjny i odwała robotę za dwóch, a czasem nawet trzech.

Więc najpierw była kawa, całe morze kawy, żeby nie zasnąć przy biurku. A potem do tej kawy dołączyło wino. Wino to przecież napój bogów, nie mogłam być alkoholizką, alkoholizki wciągają co popadnie, a ja zawsze wykwintne czerwone półwytrawne, w eleganckim kieliszku...

* * *

Lato. Znękana upałem wracam z terenu. Już późno, w domu czeka dziecko, sterta prania, prasowania, a jeszcze trzeba napisać sprawozdanie z całego dnia pracy. Jadę autobusem, który zawiezie mnie prosto do celu, powinien zawieźć, ale ja wysiadam, potem nadłożę drogi, przecież nie mam wyjścia. Kupuję swój napój bogów i już w progu, nie zdejmując butów, sięgam po korkociąg. Całe szczęście, że syna nie ma, nocuje u swojego ojca, mamy dla siebie czas: butelka i ja. Nie bawię się więc w żadne
cd na s. 11

Bo lepsze jest wrogiem dobrego

Kiedy życzą mi spełnienia pragnień, zawsze z uśmiechem dopowiadam: nie od razu i nie wszystkich, bo inaczej zwyczajnie nie miałabym po co wstawać rano z łóżka. Bo marzenia to naprawdę dobra rzecz. Prawie tak dobra jak książka, a kto wie, może i od niej lepsza.

Nic nie kosztują. Można je mieć zawsze i wszędzie. Grunt, aby nie były do natychmiastowego spełnienia.

Nie samymi marzeniami człowiek jednak żyje. A przynajmniej nie powinien. Bo nie robiąc nic w kierunku ich realizacji, zwyczajnie się od nich oddalamy. Zanim jednak dokonamy jakiegokolwiek zmiany, niezbędna nam będzie akceptacja. Polubić swoją biedę? – zapyta ktoś z niedowierzaniem, a ja mu tylko przytaknę. Tak, zaakceptować, a nawet polubić. Sympatia nie oznacza przecież miłości i wierności temu, co jest do końca życia. Zmiany są potrzebne, nieodzowne nawet, byleby nie były zmianami na gorsze, a tak się może stać przy próbach skoczenia jak najwyżej, bez podpórki i jakiegokolwiek zabezpieczenia.

Próbowałam tak skakać przez wiele lat i tylko się poobijałam. Czasem się

mocniej potłukłam, czasem słabiej, ale z uporem godnym osła nadal uprawiałam kaskaderkę. Trzeba mi było lat doświadczeń, żeby nareszcie pojąć jedno: od siebie nie uciekniesz. Możesz nakładać tysiące masek, ale pod nimi zawsze jest jedna i ta sama twarz – twoja własna. I najważniejsze, aby tę swoją twarz polubić.

Podobnie jest we wszystkich innych aspektach życia. Trudno ruszyć z miejsca, dopóki nie zaakceptuje się tego, co tu i teraz, co jest. Luiza Hay w jednej ze swoich książek na temat afirmacji życia problem ujęła tak: nawet jeśli masz za mało pieniędzy, powinieneś dziękować za każdy rachunek, który dostajesz. Bo ten rachunek oznacza ni mniej ni więcej tylko to, że jesteś wypłacalny. Inaczej – żadnych rachunków do zapłacenia byś nie miał.

Dobrych zmian Państwu życzę. Oraz akceptacji tego, na co wpływu nie mamy. I to wcale nie musi być akceptacja podsztyta goryczą. Czasem lepiej pewnych rzeczy nie zmieniać, bo takie jakie są, są zwyczajnie dobre. Zgodnie z zasadą, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Magda Wieteska

W przypadku upadku...

Nadchodzą przymrozki i opady śniegu, a wraz z nimi okres zwiększonego ryzyka upadków i bolesnych kontuzji. Przypomnijmy sobie zatem podstawowe zasady pierwszej pomocy w sytuacjach urazów kości i stawów.

1. Skręcenia

Każdy staw ma określoną granicę ruchomości, której przekroczenie skutkuje bólem oraz obronnym napięciem mięśni. Kiedy mimo odruchów obronnych będziemy kontynuować ruch, więzadła stawowe mogą ulec naciągnięciu lub rozerwaniu. Dobrym przykładem (prawdopodobnie najczęstszym zimą) jest staw skokowy (tzw. kostka). Po utracie równowagi, np. na nierównym podłożu, stopa może wygiąć się do wewnątrz. Odczuwamy wówczas ból i trudności w poruszaniu uszkodzonym miejscem; powoli też zaczyna pojawiać się obrzęk.

Postępowanie:

- ograniczyć ruchomość uszkodzonego stawu (bandaż elastyczny, w przypadku kończyny górnej – temblak itp.),
- przyłożyć chłodny kompres, by zmniejszyć ból i opuchliznę,
- w przypadku silnego bólu, zasinienia itp. należy udać się do lekarza.

2. Zwicnięcia

Zwicnięcie stawu przypomina mechanizm skręcenia: po przekroczeniu granicy ruchomości stawu więzadła ulegają rozciągnięciu (lub rozerwaniu), a kości przemieszczają się, tworząc wyraźną deformację. Towarzyszy temu silny ból, rosnąca opuchlizna i niemożność poruszenia uszkodzonym stawem.

Postępowanie:

- prowizorycznie unieruchomić staw oraz dwie sąsiadujące z nim kości (dla zwicniętej kostki będą to odpowiednio: stopa i łydka, dla nadgarstka – dłoń i przedramię). W ten sposób zmniejszymy ból i ryzyko dalszych uszkodzeń,

- przyłożyć zimny okład,
- udać się na najbliższy ostry dyżur chirurgiczny, by wykonać zdjęcia rtg i podjąć odpowiednie leczenie.

3. Pęknięcia i złamania kości

Złamanie kości jest zdecydowanie najbardziej nieprzyjemnym spośród wszystkich urazów narządów ruchu.

Objawy:

- ból przy poruszaniu,
- narastający obrzęk,
- czasem widoczna deformacja kończyny (w złamaniach z przemieszczeniem odłamów).

Postępowanie:

- unieruchomić uszkodzoną kość i dwa sąsiadujące z nią stawy (czyli np. przy podejrzeniu złamania przedramienia musimy ograniczyć ruch łokcia i nadgarstka, w uszkodzonym podudziu – unieruchomić stopę i kolano),
- przyłożyć chłodny kompres,
- udać się do lekarza,
- przy złamaniach z przemieszczeniem kości (z wyraźną deformacją) lub otwartych (z uszkodzeniem skóry) należy wezwać pogotowie ratunkowe.

Uwagi ogólne:

- 1) Nie zaleca się podawania tabletek przeciwbólowych (wchłaniają się powoli i działają stosunkowo słabo). Ból najprościej zmniejszyć za pomocą zimnego kompresu.
- 2) Każdy uraz uniemożliwiający poruszanie się (złamania kończyn dolnych) oraz każdy uraz, który wyduje się poważny lub niepokojący (zwłaszcza u osób starszych),

wymaga wezwania pogotowia. Postępujemy wówczas według wskazówek dyspozytora.

- 3) Kiedy czekamy na przyjazd pogotowia, osoba poszkodowana nie powinna stać! Warto zadbać o miejsce siedzące lub możliwość położenia się.
- 4) Każdy uraz stabilizujemy w pozycji najmniej bolesnej dla poszkodowanego. Osoby przytomne same dobiorą odpowiednie ułożenie, natomiast u osób nieprzytomnych utrzymujemy pozycję zastaną. W żadnym wypadku nie próbujemy samodzielnego „nastawiania”!

Prowizoryczna stabilizacja urazów:

O unieruchomienie kończyny warto zadbać przede wszystkim w sytuacji, gdy samodzielnie udajemy się do lekarza. Kiedy zdarzenie wymaga wezwania pogotowia, wystarczy po prostu unikać ruchu lub stabilizować miejsce urazu ręcznie.

Unieruchomienie powinno być:

- lekkie,
- nieuciskające (zwłaszcza nie uciskające miejsca urazu!),
- względnie łatwe do demontażu w szpitalu (nie wolno nic przyklejać bezpośrednio do skóry!).

Dla kończyn górnych (urazy: obojczyka, barku, ramienia, łokcia, przedramienia i nadgarstka) najprostszym sposobem unieruchomienia jest temblak wykonany z kawałka materiału, polymerydki [fot. 1] lub apteczkowej chusty trójkątnej [fot. 2-3]. Poprawnie założony temblak całkowicie podpira dłoń i przedramię, a dodatkowa opaska w poprzek ciała uniemożliwia ruch ramieniem.

Urazy kończyn dolnych (uniemożliwiające samodzielny ruch), jak już wspomnieliśmy, są podstawą do wezwania

pogotowia – dlatego też nie podajemy tu żadnej metody prowizorycznego unieruchamiania. Urazy poważne, do momentu przyjazdu karetki, można stabilizować ręcznie.

Andrzej Horowski
Grupa Ratownictwa Medycznego
PCK Wrocław



Fot. 1 Uraz kończyny górnej stabilizowany odzieżą.



Fot. 2 Pierwszy etap zakładania temblaka. Krawędź przy dłoni jest zawinięta, by uniknąć obcierania skóry, a narożnik przy łokciu jest założony do środka.



Fot. 3 W pełni założony temblak: dodatkowa opaska uniemożliwia ruch. W przypadku urazu kości ramieniowej (powyżej łokcia) opaskę prowadzimy tuż nad przedramieniem.

Zbadaj prostatę

Na rozrost prostaty cierpi już co drugi mężczyzna po pięćdziesiątce oraz 90 proc. osiemdziesięciolatek. Łagodna postać choroby, nieleczona, może doprowadzić do tak poważnych chorób jak niewydolność nerek i wodonercze.

Po czterdziestym roku życia zaczyna spadać poziom testosteronu. Wtedy prostata rozrasta się, uciskając na przechodzącą przez nią cewkę moczową, co utrudnia opróżnienie pęcherza moczowego, a zalegający mocz może być przyczyną nawracających infekcji.

Objawy, które powinny zaniepokoić i stać się przyczyną odwiedzin u urologa to: częstsza niż dotychczas potrzeba oddawania moczu, konieczność kilkakrotnego wstawania w nocy do łazienki, uczucie nieopróżnionego całkowicie pęcherza mo-

czowego, gwałtowne parcie na moczu nawet przy niewypełnionym pęcherzu, problemy z rozpoczęciem oddawania moczu i pojawiający się ból, słaby strumień i dłuższy niż zazwyczaj czas oddawania moczu, przerywany strumień lub pojedyncze krople w ostatniej fazie oddawania moczu.

Aby zdiagnozować problem, lekarz zleca analizę moczu oraz badanie gruczołu krokowego przez odbytnicę (*per rectum*). Czasem potrzebne są dodatkowe badania, np. określenie poziomu antygenu PSA we krwi, ultrasonografia przezodbytnicza czy biopsja prostaty.

Nie należy zwlekać z wizytą u lekarza, bo zbyt późno zdiagnozowany rozrost stercza może być usunięty już tylko chirurgicznie.

MW

cd ze s. 9

kieliszki, z gwinta jest szybciej, prościej, a przyjemne ciepło błyskawicznie przechodzi się po całym ciele.

Siadam do komputera, nie mam żadnych problemów z napisaniem pierwszej linijki, teksty piszą się prawie same, nad ranem już nie pamiętam, co i dla kogo napisałam, głowa boli, jest mi zimno pomimo 30 stopni na dworze, nie mogę wstać, czy dadzą mi dzień wolny...?

Nie dadzą, spóźniam się więc znacznie, długo robiąc makijaż. Nie wyglądam dobrze, na szczęście są kosmetyki; potem zakładałam świeże ubranie, niedobrze mi nadal, ale dam radę, przecież zawsze dawałam, przecież inaczej nie mogę...

* * *

Mam wolny weekend. Jeden z nielicznych, nie muszę pisać na akord ani jechać do sąsiadujących z moim miastem wsi. Spędzam ten weekend z ukochanym mężczyzną, pod wieczór proponując, abyśmy kupili „coś” do kolacji. Mężczyzna odmawia, mówi mi, że mam problem z piciem, zaprzeczam, spieramy się, on jest stanowczy, ale ja bardzo spragniona. W końcu ostrzega mnie, że gdy wyjdę, mogę już nie wracać. Przez chwilę się waham, przez chwilę tylko. Wychodzę.

Potem jest dużo rozmów. Słów, które przyjmuję do wiadomości, ale po wyjściu

ukochanego odkorkowuję butelkę i piję. Przecież jestem sama, mogę. Przecież jestem dorosła. Przecież kontroluję, co piję. Przecież (jeszcze) niczego nie zawałam.

* * *

Nadchodzi sylwester. Spędzę go sama, w domu. W markecie w pierwszej kolejności wrzucam do wózka trzy półwytrawne wina. I wyjmuję je, gdy moje dziecko z rezygnacją mówi: „Znow będziesz pić, a potem spać”. Jak mogłam przypuszczać, że ono niczego nie widzi...?

Sylwester jest bezalkoholowy. I nie do zniesienia.

A potem wracam do mężczyzny, który daje nam jeszcze jedną szansę, pod warunkiem że zacznę chodzić na terapię.

Dwa tygodnie krążę wokół budynku. Oglądam ludzi z niego wychodzących. Przecież to alkoholicy! Niezbyt czyści, biednie ubrani, z kilkudniowym zarostem na twarzy. Przecież ja jestem inna!

W końcu idę. Jest nas ponad dwadzieścia osób, w tym tylko trzy kobiety, a wśród tych kobiet ja. Przedstawiamy się, dodając parę słów o sobie. Mam świadomość, że jako jedyna w tej grupie mogę być rozpoznawalna.

Magda Wieteska

Ciąg dalszy *coming outu* – drogi wychodzenia z picia – w następnym numerze LS.

Niebezpieczny e-papieros?

Elektroniczne papierosy, promowane jako sposób na bezpieczne palenie, spotykają się z coraz większym protestem środowisk medycznych, które uważają, że e-papieros nie jest skuteczny w walce z nałogiem, a może być nie tylko uzależniający, ale wręcz niebezpieczny dla zdrowia.

Czym jest e-papieros? To urządzenie zbudowane z elektronicznego systemu odparowywania roztworu nikotyny, baterii, ładowarki oraz wymiennych wkładów, zawierających nikotynę i inne środki chemiczne. Wyglądem przypomina zwykłego papierosa i takie ma zadanie – dostarczyć organizmowi nikotyny w dawce zbliżonej do zawartej w tradycyjnych papierosach. Dlaczego więc uważa się, że jest niebezpieczny dla zdrowia?

– *E-papieros zawiera nikotynę, która nie tylko uzależnia, ale sama może być niebezpieczna, o czym informują ulotki leków z grupy nikotynowej terapii zastępczej. Ostatnie badania wskazują na potencjalny wpływ narażenia na nikotynę u ciężarnych, na występowanie wad płodu, takich jak rozszczep wargi i podniebienia oraz zmiany w rozwijającym się mózgu prowadzące do deficytów psychologicznych u dzieci* – mówi Łukasz Bałwicki, lekarz z Uniwersyteckiej Poradni Antytytoniowej w Gdańsku.

Producenci tych urządzeń z kolei zapewniają, że ich produkty stanowią pomoc w walce z paleniem i dostarczają nikotynę w sposób bezpieczny i zdrowy. Nie można się tego dowiedzieć wprost, bowiem nieznaną jest pełen skład chemiczny substancji wykorzystanych w e-papierosach.

W Stanach Zjednoczonych urząd ds. Żywności i Leków przeanalizował substancje chemiczne zawarte w 18 różnych wkładach ENDS, oznaczonych dwiema różnymi markami i odkrył, że różnią się one znacząco pod względem składu i stężenia. Niektóre z nich zawierały wykrywalne ilości nitrozoamin występujących w tytoniu i mających właściwości rakotwórcze. Badania wykazały też, że rzeczywista ilość nikotyny zawartej

w produkcji niezgodna była z ilością, o której informowały opakowania, a niektóre wkłady zawierały nikotynę pomimo podawanej przez producenta informacji o jej braku.

Polscy naukowcy zbadali, że w aerolu generowanym z e-papierosów, płynach oraz wkładach z nikotyną mogą znajdować się toksyczne związki chemiczne, takie jak formaldehyd, acetaldehyd, akroleina, toluen, kadm, nikiel i ołów.

– *Chociaż ilości tych związków były znacznie niższe niż w dymie papierosowym, nie potrafimy dziś określić skutków zdrowotnych, jakie nieść może ze sobą wieloletnie stosowanie e-papierosów. Stwierdziliśmy także, że w przypadku niektórych produktów, podawana na opakowaniu zawartość nikotyny znacznie odbiegała od jej rzeczywistej dawki, którą zmierzaliśmy, stosując nowoczesne metody analityczne* – komentuje Maciej Łukasz Goniewicz z londyńskiego uniwersytetu.

Lekarze podkreślają, że e-papierosów nie należy mylić z produktami nikotynowej terapii zastępczej, które są oficjalnie zatwierdzonymi środkami wspomagającymi walkę z uzależnieniem, i nie podlegają takim samym regulacjom prawnym. Nie należy ich też mylić z inhalatorami dostępnymi w aptekach, ponieważ nie zostały zakwalifikowane w polskim prawie jako lek. Dopóki (jeśli w ogóle) e-papierosy nie staną się zatwierdzonym środkiem nikotynowej terapii zastępczej, a ich producenci nie podadzą dawkowania, czasu stosowania, przeciwwskazań stosowania, nie można mówić o bezpieczeństwie ich stosowania jako środka pomagającego rzucić palenie. Co więcej, promocja e-papierosów niesie ze sobą szereg niebezpieczeństw, takich jak propagowanie e-palenia jako

bezpiecznego dla zdrowia, atrakcyjnego także dla osób niepalących, w tym dzieci i młodzieży oraz zwiększenie spożycia wyrobów zawierających nikotynę.

Ponadto Ustawa z dnia 9 listopada 1995 r. o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych nie mówi nic o e-papierosach jako wyrobach tytoniowych.

Brakuje prawnych regulacji odnoszących się bezpośrednio do e-papierosa, ponieważ usunięto je z projektu nowelizacji ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych (1.07.2011 r.).

Nie wiadomo więc, czy można je uznać „za wyroby tytoniowe, czyli wszelkie wyprodukowane z tytoniu wyroby, takie jak papierosy, cygara, cygaretki, tytoń fajkowy, machorka i inne, zawierające tytoń lub jego składniki, z wyłączeniem produktów leczniczych zawierających nikotynę.”

Tym samym nie ma jasności, czy produkt zawierający składniki tytoniu, a niewyprodukowany z tytoniu, jest wyrobem tytoniowym. I tak obecna regulacja prawna umożliwia producentom e-papierosów (z uwagi na niejasne brzmienie ustawy) omijanie rygorów prawa antytytoniowego dotyczących wyrobów tytoniowych.

Obywatelska Koalicja Tytoń albo Zdrowie podkreśla, że producenci e-papierosów oraz twórcy ich reklam promują niebezpieczną dla zdrowia substancję, jaką jest nikotyna.

Jeśli e-papieros zostałby uznany za wyrób tytoniowy, jego reklama i promocja zgodnie z ustawą byłaby zabroniona pod groźbą grzywny do 200 tys. zł. albo kary ograniczenia wolności.

Tekst został opracowany na podstawie informacji Stowarzyszenia MANKO, organizatora kampanii społecznych LokalBezPapierosa.pl, Nie pal przy dziecku.

Babcia

współczuć czy zazdrościć?

Czy bycie babcią jest *passé*? Czy można dobrze czuć się w roli babci, będąc jeszcze całkiem młodą, aktywną, spełniającą się na wielu płaszczyznach kobietą?

Moja szefowa, który niedawno sama została babcią, twierdzi, że tak. Wierzę jej, bo nie ma w zwyczaju ukrywać, co myśli. Jednak nie wszystkie znajome kobiety zadowolone są z obdarzania ich mianem, które kojarzy się z ciepłymi bamboszami, plackiem z kruszonką, robieniem na drutach i... starością. Wnuki mojej sąsiadki mówią do niej po imieniu, wnuki koleżanki nie mówią po imieniu, jednak słowo *babcia* również nie występuje w ich rodzinnym słowniku. Dlaczego, zapytałam koleżankę. Odparła, że nie czuje się jeszcze taka stara. To prawda, stara w żadnym wypadku nie jest. Pracuje, niedawno znów się zakochała i kto wie, czy ponownie nie wyjdzie za mąż.

Różnica wieku pomiędzy moim synem a bratem wynosi tylko pięć lat. Moja mama, ledwo odchowawszy drugie dziecko, została więc babcią. Nie pamiętam, żeby jej to jakoś doskwierało, przeciwnie, lubiła słyszeć słowo *babcia* wypowiedziane przez moje dziecko i nigdy przed odpowiedzialnością, a może raczej przyjemnością posiadania wnuka, nie uciekała, chociaż daleko jej do wizerunku babci, znanej głównie z literatury, albo też minionej epoki. Bo dzisiejsze babcie w przeważającej większości są aktywne zawodowo, prywatnie i nie dla nich ciepłe kapcie. Chodzą w szpilkach albo trampkach, malują się, zakochują, wyjeżdżają na wycieczki. Bywa, że dla wnuków mają mało czasu, a już niepodobnym jest namówić je na całodzienną opiekę nad maluchem. I bardzo dobrze!

Gdybym sama za kilka lat, co jest teoretycznie możliwe, została babcią, z przyjemnością spędzałabym czas z maluszkiem, ale nikt nie zagoniłby mnie do pełnego etatu nad dzie-

cięciem. Nie ze względu na młody jeszcze mój wiek bądź brak miłości do wnuka, ale zwyczajnie z powodu braku czasu oraz chęci wykorzystania wolnej od pracy chwili na rozwój własnych pasji. Poza tym od wychowywania dzieci są ich rodzice. A dziadkowie od czego są?

Od rozpieszczania i dawania wnukom tego, na co ich rodzice nie zawsze znajdują czas.

Czyli uwagi i troski. Sama pamiętam z dzieciństwa niedzielne wycieczki krajoznawcze maluchem dziadków. Raz w tygodniu, a nie co dzień. I pewnie dlatego pozostały miłym i często przywoływanym wspomnieniem. Podobnie jak różne zakazane przez rodziców uczynki, które niemal bez ograniczeń przemieniały się w przywileje, kiedy gościłam u dziadków. Chodzenie w babcinych butach na obcasach czy wyjadanie migdałów wprost z torebki to tylko nieliczne z nich.

Nie bójmy się więc być babciami i dziadkami. To całkiem komfortowa instytucja: nie trzeba wychowywać, a można przyjemnie z młodszym pokoleniem spędzić czas. To też forma wychowania, tyle że znacznie mniej obciążająca.

WieM



Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej
ul. Strzegomska 6, 53-611 Wrocław
tel. (71) 782 23 18, fax (71) 782 23 27

Uwaga

zmiany w becikowym oraz w dodatku do zasiłku rodzinnego z tytułu urodzenia się dziecka

Od 1 stycznia 2012 roku prawo do dodatku do zasiłku rodzinnego z tytułu urodzenia dziecka i jednorazowej zapomogi z tytułu urodzenia się dziecka ponownie uzależnione jest od przedstawienia przez osobę ubiegającą się zaświadczenia, że matka dziecka pozostawała pod opieką medyczną nie później niż od 10 tygodnia ciąży do porodu (przepisy ustawy z dnia 25 marca 2011 roku o ograniczaniu barier administracyjnych dla obywateli i przedsiębiorców nie przewidują możliwości zastąpienia ww. zaświadczenia oświadczeniem). Zaświadczenie takie może wystawić lekarz lub położna.

Wzór powyższego zaświadczenia określony jest we wchodzącym w życie 1 stycznia 2012 roku rozporządzeniu Ministra Zdrowia z dnia 14 września 2010 roku w sprawie formy opieki medycznej nad kobietą w ciąży, uprawniającej do

dodatku z tytułu urodzenia dziecka oraz wzoru zaświadczenia potwierdzającego pozostawanie pod tą opieką (Dz. U. z 2010 r., Nr 183, poz. 1234).

Informacja pochodzi ze strony Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej we Wrocławiu

R E K L A M A



PRAKTYKA GRUPOWA LEKARZY RODZINNYCH
„MED.-OPOR”

ul. Śniegockiego 15, 52-414 Wrocław

czynna od poniedziałku do piątku
w godz. 7.30 – 18.30

tel. (71) 363 54 19, tel./fax 364 59 06

Umowa z NFZ w zakresie podstawowej opieki zdrowotnej

Warto przeczytać

Maria Curie i córki

Listy

Przekład Teresa Pogwizd i Mieczysław Mendychowski

Wydawnictwo Dolnośląskie

Laureatka Nagrody Nobla została uznana za wzór kobiety naukowca. Dziś Maria Skłodowska-Curie to symbol ambicji, wytrwałości i pasji odkrywania.

Uczony jest w swojej pracowni nie tylko technikiem, lecz również dzieckiem wpatrzonym w zjawiska przyrody, wzruszające jak czarodziejska baśń – pisała w swoim dzienniku polska uczona. Dzięki wielu publikacjom, dostępnym w księgarniach i bibliotekach, znamy różne oblicza odkrywczynie pierwiastków Radu i Polonu. Poznajemy ją jako cyklistkę, marzycielkę, myślicielkę, feministkę. Teraz Mamy jej portret jako matki, bo w ręce czytelnika trafił opublikowany przez Wydawnictwo Dolnośląskie zbiór Maria Curie i córki *Listy*. Kiedy Maria Skłodowska-Curie została wdową, Irena miała dziewięć lat, a Ewa niespełna dwa. Uczona musiała sama wychowywać córki, dbać o ich edukację, a jednocześnie intensywnie pracować w laboratorium. Nie zawsze liczne podróże, obowiązki oraz zdrowie pozwalały jej spędzać wakacje z dziewczynkami. Irena i Ewa często wyjeżdżały ze znajomymi lub krewnymi matki. Stąd bogata korespondencja – dziecinne, proste początkowo listy „dojrzewają” wraz z córkami. Czasem dotyczą kwestii szkolnych: „wysyłam Ci opis metody rysowania elipsy, której być może nie znasz” – pisze Maria do Ireny z Londynu. Kiedy indziej w korespondencji pojawia się troska: „Proszę Cię, abyś była ostrożna, kiedy wyjeżdżasz sama na rowerze”. Irena z kolei relacjonuje: „wieczorem po kolacji zrobiliśmy ładny spacer na piechotę. W łózkach gadałyśmy przez czas zupełnie nieokreślony”. Wydawca pozostawił w książce nawet błędy ortograficzne Ireny i Ewy – to nadaje tym listom charakter jeszcze bardziej osobisty, kiedy matka chwali postępy córek w ortografii.

Wprawdzie czytelnik może być nieco rozczarowany, bo nie znajdzie w korespondencji intelektualnych rozważań, opowieści o pracy naukowej i szczegó-

łów dokonywanych odkryć, głębokich przemyśleń – raczej prozę życia. Czasem są to konwencjonalne pozdrowienia, wakacyjne notki o kąpielach i pogodzie. Pojawiają się także relacje z podróży, opowieści o spotkaniach z naukowcami, opisy uroczystości. W latach 1914-1918 w korespondencji wyraźnie pobrzmiwa ton niepokoju: „ma się wrażenie, że żyje się na wulkanie, a ludzie jakby się nawet do tego przyzwyczajali” (...) „wydaje mi się, że sprawy toczą się źle, lada chwila spodziewamy się mobilizacji”. Podczas wojny Maria współpracuje z wojskiem, szkoli pielęgniarki i lekarzy frontowych – pokazuje im praktyczne metody i sposób wykorzystania aparatury z promieniowaniem X. Kontakt staje się coraz trudniejszy, panuje dezinformacja, rzadziej dochodzą listy, ludzie migrują. „Zajmij się młodszą siostrą, która napisała do mnie kartkę pełną rozpacz” – prosi Maria starszą córkę. Irena ukończyła kurs pielęgniarski, początkowo asystuje matce, potem pracuje samodzielnie. Mimo trudnych warunków i oddalenia, cały czas wszystkie trzy piszą listy.

Publikacja zawiera reprodukcje autografów kilku listów oraz zdjęcia z rodzinnego archiwum, a korespondencja podzielona jest na kilka okresów, ważnych etapów w życiu Marii i jej córek. Każda partia listów poprzedzona jest komentarzem biograficznym. Ostatni, lata 1927-1934 to m.in. pojawienie się w rodzinie mężczyzny – Fryderyka Joliot, męża Ireny, bardzo ważna podróż Marii do USA, wyprawa z Ewą do Hiszpanii oraz przyjsie na świat wnuków. Korespondencja zamieszczona w książce kończy się w marcu 1934 roku, Maria zmarła w lipcu tego roku. Irena poszła w ślady matki i została naukowcem, ona również była laureatką Nagrody Nobla – za odkrycie sztucznej promieniotwórczości. Uzdolniona artystycznie Ewa grała na fortepianie, została krytykiem muzycznym i dziennikarką. Przyjaźniła się m.in. z Colette, Arturem Rubinsteinem i Eleonorą Roosevelt. Napisała także biografię matki, przetłumaczoną na wiele języków. Nad archiwami rodzinnymi czuwała także wnuczka Marii Hélène Langevin-Joliot – to dzięki niej został opracowany ten prywatny zbiór listów, który ukazuje wzajemne relacje Marii oraz jej córek na przestrzeni blisko trzydziestu lat.

Anna Molska

„Żaden tort z lukrową lirą i zielonymi liśćmi tataraku nie mógł rywalizować z pudelkiem czekoladek lub torebką bakalii. Tort był jak bardzo smaczna proza, a torebka bakalii – czymś w rodzaju antologii poezji. Pełna rozkosz nie polegała jednak na samym objadaniu się słodyczami. W święta wolno mi było czytać w łóżku. Zaopatrzony w zapas czekoladek i bakalii, z nową powieścią Jules Verne’a tulilem się w boskiej intymności pod kołdrą. Bryg „Queen Mary” znajdował się na wysokości (czekoladka z różowym nadzieniem) Wysp Towarzystw i na rozkaz kapitana Granta (daktyl) wziął kurs na południowy zachód (skórka pomarańczowa w czekoladzie). Tak było wieczorem. W dzień błędziłem nieprzytomny z pokoju do pokoju nie rozstając się z książką.”

Antoni Słonimski

Wspomnienia warszawskie

Kiedy zima zaczyna doskwierać i temperatura schodzi poniżej zera, można albo nałożyć ciepłe rzeczy, w które zaopatrzyliśmy się na poprzednim spacerze i mimo wszystko wyjść w mroźne, chłodne powietrze na spacer, albo wzorem Antoniego Słonimskiego zaszyć się pod kołdrką z paczką słodyczy i dobrą książką. Nie namawiam do tego ostatniego. Bo i nie trzeba chyba do tego nikogo namawiać.

Powiedzieć, że Wrocław był od zawsze związany z książkami, to tyle, co nic nie powiedzieć. Oczywiście, historia słowa pisanego i drukowanego ewoluowała w przestrzeni i w czasie i nie jest ambicją tego tekstu przedstawienie tej historii w zupełności. To raczej renesans po zapisanych gęsim piórem, a potem zadrukowanych stronicach.

We Wrocławiu z dawien dawna istniały trzy liczące się biblioteki, wszystkie związane z kościołami: Biblioteka Elżbietańska, związana z kościołem i gimnazjum Św. Elżbiety, Biblioteka Magdaleńska, funkcjonująca przy kościele i gimnazjum Św. Marii Magdaleny, i Biblioteka Klasztoru Św. Bernardyna. Inaczej – Elizabetanum, Magdaleneum i Bernardinum.

Każda z nich miała nieco odrębny charakter, związany z miejscem, które stanowiło jej siedzibę.

Elizabetanum

Biblioteka Elżbietańska była z nich chyba najstarsza. Trzon jej zbiorów stanowiła Rehdigerana, biblioteka założona i prowadzona przez Thomasa Rehdigera, rajcę miejskiego, mecenasa

NIE SIEDŹ W DOMU

Dawnych księgozbiorów czar

sztuki i człowieka, który „z podróży uczynił profesję”. Po śmierci właściciela w 1576 r. nie została jednak zaprezentowana publicznie, zgodnie z wolą testatora, kolekcję upubliczniono dopiero w 1661 roku. Trzeba sobie wyobrazić miejsce wypełnione nie tylko książkami, ale i obrazami olejnymi, medalionami, popiersiami wybitnych mężów i starymi mapami – i dopiero będzie to obraz Rehdergerany. I to całe bogactwo spoczywało w dwóch, połączonych arkadą salach nad zakrystią kościoła Św. Elżbiety.

Księgozbiór rósł, wzbogacany o legaty innych wybitnych osobistości wrocławskich, a to o spuściznę po Albrechcie Sebischu (w 1689), a to o niegdysiejszą własność Johanna Sigismunda Haunolda (lata 1690-1711). Z czasem biblioteka zaczęła przypominać gabinet osobliwości: drewniany słoń naturalnej wielkości, portret dziewicy z brodą, pawian malowany z natury jak żywy. Jednak najcenniejszą częścią biblioteki były oczywiście książki, bogato iluminowane kodeksy i inkunabuły sprowadzane z całego kulturalnego świata.

Magdaleneum

Nieco inny charakter miał zbiór książek i osobliwości mieszczący się w zakrystii kościoła Św. Marii Magdaleny. Ponieważ proboszczem tej parafii był Jan Hess, pierwszy protestancki duchowny Wrocławia,

jego portret zapoczątkował kolekcję podobizn magdaleńskich duchownych. Oprócz książek i tu znalazło się miejsce na przedmioty pasujące bardziej do pannoptikonu, niż do biblioteki. Mowa tu o słynnej wrocławskiej mumii egipskiej, należącej początkowo do Laurentiusa Scholtza, zbadanej i opisanej przez poetę i chirurga (!) Andreasa Gryphiusa, i wreszcie przekazanej Bibliotece Magdaleńskiej.

Biblioteka ta była bardzo wytwornym wnętrzem: na balustradzie oddzielającej czytelników od bibliotekarzy stały rzeźbione w drewnie przez Dawida Psolimara, naturalnej wielkości postacie greckich mędrców. Zachowała się spośród nich rzeźba przedstawiająca Pittakosa z Mityleny.

Biblioteka była wspominana w dokumentach od 1436 roku, jednak dopiero w 1601 roku uzyskała ona status biblioteki publicznej.

Bernardinum

Biblioteka klasztoru zakonu bernardynów, powstałego na fali uniesienia religijnego spowodowanego wizytą (w 1453 roku) kaznodziei i inkwizytora Jana Kapistrana, stworzona została „ad maiorem Dei gloriam” (dla większej chwały Bożej). Zakon franciszkanów obserwantów prowincji bernardyńskiej był zakonem, w którym ślubowano ubóstwo, co znacznie ograniczało możliwość zakupu lub wymiany ksiąg. Jednakże zakonnikom od św. Bernardyna udało się co nieco zgromadzić. Księgozbiór w początkowej fazie liczył około 100 woluminów i składały się nań dzieła o charakterze religijnym, przydatne w życiu zakonnym: psalterze, graduale, brewiarze i mszały. Przy zakonie istniało również skryptorium, znamy nawet imię jednego ze skrybów: Zephyrus de Pannwitz, brat Zefir.

W dziejach biblioteki bernardyńskiej znaczącą cezurę stanowi wypędzenie siłą zakonników z Wrocławia, którego



dokonali protestanccy rajcy miejscy w 1522 roku. Mieszkańcom klasztoru nie wolno było wziąć swoich książek. Dopiero sto lat później wrocławski kupiec i księgarz, David Albrecht, odbudował na własny koszt resztki biblioteki. Do akcji chętnie włączyli się inni, w początkach osiemnastego wieku książek było już ponad sześć tysięcy. Wśród nich takie rarytasy, jak „Biblia islandzka” i manuskrypt Cicerona „De officiis”. Kolekcja bernardyńska nie była tylko biblioteką i rozszerzyła nieco wizję chwały Bożej: mieściły się w niej liczne sztuchy i obrazy, zbiór monet i medali, instrumenty astronomiczne, a nawet preparaty zoologiczne (zab jednorożca, penis wieloryba) i pompa powietrzna.

W dzisiejszych czasach biblioteki pełnią znacznie mniejszą rolę, niż kiedyś, pomimo większej dostępności książki, a może nawet właśnie dlatego. Dawniej na otwarcia bibliotek pisano uroczyste panegiryki, można je wszystkie było odwiedzać dwa razy w tygodniu przez dwie godziny. Mało kogo stać było na „prywatną książkę”.

Dziś szacowne wnętrza kościoła i klasztoru bernardynów znowu mieszczą gromadę szeleszczących skrzydłami stronicy przyjaciół, bo co roku w pierwszy weekend grudnia odbywają się tam Wrocławskie Promocje Dobrych Książek.

Zofia Kociatkiewicz





www.nasza.ludzkasprawa.pl

ludzka sprawa nasza sprawa

warsztaty edukacyjno-terapeutyczne dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej umysłowo

- ✓ aktywizacja społeczna dzieci i młodzieży niepełnosprawnej umysłowo,
- ✓ upowszechnianie działań na rzecz osób niepełnosprawnych,
- ✓ przełamywanie stereotypów dotyczących osób niepełnosprawnych (umożliwienie uczestnikom projektu aktywnego udziału w życiu społecznym miasta, kontakt ze znanymi ludźmi świata sztuki, biznesu, władz lokalnych).

Stowarzyszenie Świat Nadziei

ul. Ruska 46 A/33, 50-079 Wrocław
www.nasza.ludzkasprawa.pl
e-mail: projektFIO@ludzkasprawa.pl

Realizacja zadania wspierana jest przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej (w ramach Funduszu Inicjatyw Obywatelskich) oraz Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego